

UWAGA!!!

JEŻELI Z GÓRY ZAKŁADASZ, ŻE WYJĄTKOWO ŹLE ZNOSISZ DŁUGIE, ROZBUDOWANE ZDANIA, BĄDŹ TEŻ CZYTAJĄC TEN TEKST STWIERDZISZ, ŻE NIE DASZ RADY BRNAĆ DALEJ, NIE CZYTAJ DO KOŃCA I NIE KOMENTUJ. JEŚLI NATOMIAST ZAMIERZASZ PRZECZYTAĆ, ZRÓB TO JEDNYM TCHEM, NIE ZAGLĄDAJĄC UPREDNIO DO KOMENTARZY.

DZIEKUJĘ, AUTOR.

*

Wartki strumień zawodzi jednostajnym śpiewem i jest lodowaty niczym wyjęte z zamrażarki kostki do letnich drinków, zatem kiedy Marek - właściciel organizmu jeszcze nie oczyszczonego z alkoholu {po wczorajszej, dość niespodziewanej wieści Pawła |z którym znali się przecież jak łyse konie|, że jego druga połowa właśnie wydała na świat syna} w postaci zielonego Jaśka Wędrowniczka, {"doprawionego" specjałami rodem znad Wisły} - opuszcza namiot, musi bardzo ostrożnie stąpać, by nie zawadzić o wystającą skośną linkę {niezmiennie kojarzącą się tutejszemu przewodnikowi |a zarazem - po Pawle - vicebłaznowi| z linią wysokiego napięcia |co, zdaniem Doroty, siostry Marka, było [tak się czasem mówi] "średnio śmieszne" [tego zresztą akurat Too-High-Bay (przezowano go tak z uwagi na dziwnie kontynentalny - jak na Szkota - niemal wręcz azjatycki wygląd) nie pomyślał jako żart (chyba zresztą dlatego w opinii ogółu - z wyjątkiem Doroty - wyszedł mu)]}, co mu nawet wychodzi, ale zaraz będzie musiał uważać na porozrzucane wokół kamienie, tudzież resztki konarów {z powodu ich poskręcania Too-High-Bay |oficjalnie używający imienia Graham, choć to mało istotne| przy wczorajszym ognisku zaczął zjadliwie porównywać je do pogmatwanych życiorysów znanych angielskich gwiazdek filmu, estrady, srebrnego ekranu, literatury itp., a Paweł natychmiast podchwycił dowcip i - ku radości pozostałej trójki uczestniczących w wyprawie Polaków, jak i reszty ekipy - przetransportował tę aluzję na twarze skądinąd mniej znane lecz jakże znajomo wyglądające czasem i w tej części Europy: pospolitych żuli, bohaterów tak zwanego codziennego życia |które [podobno], jak to ktoś rzewnie zawodził, "jest nowelą", ale zostawmy ten temat, bo przecież nie piszemy noweli|, ale zostawmy ten temat nim owa proza życia |która [podobno], jak to ktoś mądrze zaśpiewał, jest "przyjaźni kat", ale zostawmy ten temat, ponieważ dla wielu może on być zbyt ciężki| przytłoczy nas swym walcem}, co mu się zresztą udaje z jednakowym powodzeniem, a zważać musi dlatego, iż wszystkie te obiekty {każdy z osobna i wszystkie razem wzięte} otaczają {bądź też, rzekłbyś, osaczają} namiot {jakby był renegatem |ale na opak [wytwór człowieka osaczony przez naturę]} w taki sposób, że każdy przechodzący obok *homo sapiens* {lub też inna istota o podobnych wymiarach} - w razie jakiegokolwiek niewłaściwego ruchu - z dużym prawdopodobieństwem znajdzie swe miejsce w chłodnym prądzie {środowisku być może nawet naturalnym |bardziej jednak dla pstrągów|, jednak niekoniecznie przyjaznym}, czego właśnie doświadcza Marek, nie wyrobiwszy na pokrytej rosą kępce trawy, ale, daj spokój, nie idź do niego, nie wpadł cały, bo na szczęście w porę złapał równowagę {nie lada wyczyn w tym stanie, co?} i tylko łydkę zamoczył w zimnych odmętach {niezły początek dnia w jego sytuacji, nie uważasz?}, a nawet jakby się tam skąpał, to przecież nurt by go nie porwał, jakoś by się wydostał, dałby radę, no i czemu pytasz, czy nic mu nie jest, a co by miało być, no widzisz, on i tak już bełkoce, że gównem cię to obchodzi, oj tak, przepraszam za użycie wobec ciebie wulgaryzmu, rzadko to robię, ale teraz tylko powtarzam po nim, zresztą przyznaj szczerze, wcale nie chciałabyś mu pomóc, tylko się zgrywasz, żeś taka troskliwa, no już dobrze, nie bierz zbyt poważnie wszystkiego, co teraz mówię, ale zostań, tak mi się tu przyjemnie z tobą siedzi w porannej mgłę z kubkiem herbaty w dłoni {aha, ty pijesz kawę |widzisz, tym razem diabelski napój szkodziłby mi

na żołądek|, trzymając kubek w obu dłoniach |a niech ci będzie|} i masz tak piękną, nordycką twarz z oczkami jak to niebo jeszcze przedwczoraj {zanim przyszedł - zapowiadany przez jedną na cztery stacje radiowe |jednak dobrze, że ktoś [nawet więcej niż jeden (prócz Pawła Lena i ja)] pomyślał o wzięciu odbiornika| niż, psujący wszystko}, włosami koloru słońca {wiem, mało to oryginalne, ale chyba cię nie nudzę?} i gdyby nie ten twój ortalionowy, szaro-czerwony strój, pasowałabyś idealnie na rusałkę, czy coś takiego, skąd ten słodki, ironiczny nieco uśmiech, poważnie to mówiłem, ale nie pomyśl czasem, że cię podrywam i kiedy teraz dopijasz z blaszanego kubka tę kawę, jak to sama określiłaś, kowbojską {bo czarną i bez cukru |podziwiam, choć w tym stanie trochę mdli mnie od tego zapachu, ale muszę go biernie przyjąć|}, przyjmując biernie muśnięcia chłodnej mgły i delikatnego lecz również zimnego wiatru, to ja chciałbym być nimi, tą mgłą i tym wiatrem, całując cię po smukłych, bladych policzkach, nie martw się, to tylko gdybanie {wolno mi chyba, czyż nie?}, no więc chwilę potem powolnym ślizgiem przeszedłbym do któregoś z twoich uszu {które teraz |nie wiem czemu akurat teraz| zakrywasz grubą opaską koloru tej ziemi} i tak, żując miękką chrząstkę, jak ty teraz wyjętą z kieszeni markową miętówkę {dzięki, nie chcę} wzbudzałbym w tobie poczucie ekscytacji {tylko nie mów, że jesteś tą co szóstą czy którąś tam, co na to nie reaguje |milczysz, widzę, wciąż przeżuwając ten problem, a milczenie [nawet z gumą w ustach i pogardliwą miną] oznacza zgodę|}, za twoją zgodą zszedłbym trochę niżej, przez trąbkę Eustachiusza do szyi, a jeśli bałabyś się o swoje gardło, zaatakowane ostatnio przez stado dzikich bestii, które bezskutecznie próbujesz masakrować całą serią jakichś tam pastylek, to niepotrzebnie, gdyż moje usta cieplejsze są niż mgła, a od wiatru też bym cię osłonił i kiedy teraz bez słowa ni spojrzenia na mnie, jak gdyby nigdy nic wstajesz i podążając w kierunku Marka, udajesz, że chcesz sprawdzić, co z nim, przez moment ukazawszy mi swą całą wysokość i zakatarzone nozdrza z dolnej perspektywy, myślę, że zaraz potem podążyłbym znów w górę, w ich kierunku, liżąc z zapamiętaniem te twoje wilgotne dziurki, ach, rozmarzyłem się, zresztą chyba tego nie słyszysz, bo właśnie opuściłaś tego podtrutego na własne życzenie męczennika, który zaraz wstanie i - podobnie jak ty - schowa się w namiocie, z tą różnicą, że on nie trzyma w żadnej ze swych dłoni blaszanego kubka, tylko co najwyżej kropelki rosy, a wszedłszy, narobi {też w przeciwieństwie do ciebie} wielkiego rumoru, nie budząc jednak swego współlokatora {śpiącego twardo pijanym snem młodego tatusia}, co tobie się nie udaje, bo choć poruszasz się naprawdę bezszelestnie {w czym podobna jesteś do tej mgły}, to już niespełna minutę po twoim zniknięciu w namiocie, wyłania się zeń ta nieco nadgorliwa Rosjanka pytając mnie: "Gdzie maja kamiera?", a ja: "Skąd mam wiedzieć?", a ona: "Ty nie widział jej?", a ja {po przyplywie strumienia wyrozumiałości i ciężkiej łodzi, jaką stanowi dla mnie rosyjski słownik}: "Niet. A paciemu mnie eto znać? Spytaj Too-High-Bay'a, on może szto-to mądrego skazać tobie...", a ona: "Nie szutkaj", na co wbrew jej intencjom mam ochotę łać ze śmiechu, ale mówię: "Nie żartuję. No daj spokój, Lena, pijana ty jak prawie wsje tuda", a ona {zaskakująco czystą |przynajmniej częściowo| polszczyzną}: "Kurwa mać, co z tego? I jak te foty z wcierajszej imprezy odzyskaju?", a ja: "Najdziesz, nie bojsja, ili kto-to z nas najdziet", a ona już mnie nie słucha, niemal trzeźwiejąc ze wzburzenia, węszy gdzie popadnie, nawet w zaroślach przy wodzie, a po chwili, zrezygnowana, ze łzami w oczach wraca na swe legowisko, zostawiając mnie sam na sam z myślą, że chyba jednak potraktowałem ją nieco zbyt opryskliwie, a przecież reprezentantki jej płci w liczbie trzech stanowiły tu nieznaczną mniejszość, a w dodatku była tą jedyną zza wschodniej granicy mojego kraju {a tym samym przybyłą z najdalszego miejsca} i jeszcze to zaginięcie aparatu, cóż, powinienem być łagodniejszy, nawet {a może szczególnie} wobec kogoś, kto do picia ma „mocniejszy łąb”, ale już za późno, schowała się przed złem tego świata {objawiającym się tym razem w moich słowach} pod kurtyną barwy jasnej nadziei i najwyraźniej nie zamierza szybko wyjść na światło dzienne, a przecież nie wejdę tam i nie zacznę przeproszać, bo jak by to wyglądało, ale teraz żałuję bardzo, że to w dużym stopniu inaczej wygląda, to znaczy niby jest ten sam strumień i ludzie w większości ci sami: ja, Marek, Dorota, Too-High-Bay i Lena, postarzeni o ładnych siedemnaście lat, wzbogaceni o swoje drugie połowy, z których wszystkie {jakimś cudem} wyraziły zgodę na tę podróż sentymentalną, niestety brak

głównego komika {Marek twierdzi, że Paweł jeszcze na krótko po separacji z żoną [jeszcze żoną] był pogodnym, wciąż tryskającym humorem gościem w sile wieku i powodziło mu się całkiem nieźle, ale dopiero gdy wraz z rozwodem spadły na niego alimenty i odebrano mu prawo widywania się z trójką dzieci, zdegenerował się [choć grunt [jeszcze nie stracił go pod nogami], że jeszcze nie stracił pracy] do tego stopnia, że dawni znajomi [i wycieczki w przeszłość] już go nie tylko nie interesują, ale wręcz odrażają, źle się kojarzą i on, Marek, nie widzi dla niego „szans na życie z jaśniejszym kierunkiem”} i tamtej jasnowłosej Dunki, z którą wtedy przecież wcale nie prowadziłem tej ciekawej konwersacji, gdyż {o, zgrozo!} prawie nie znałem angielskiego {na tyle tylko żeby się dogadać [od tamtej pory zrobiłem spory postęp] w podstawowych sprawach} {cóż, byłem wtedy jeszcze dwudziestopięcioletnim gówniarzem}, bo na pewno nie operowałem w języku Shakespeare’a pojęciami typu "muśnięcie" czy "odmęty", a dziś strasznie tego żałuję, ale czego tu właściwie żałować {że nie zarwałem sobie skandynawskiej piękności?}, mam przecież kochającą żonę {teraz jeszcze sobie chrapie w namiocie obok}, której wygląd i zachowanie bardzo mi odpowiada, a w ogóle nie wiem jak to jest, że choć najczęściej podobały mi się właśnie takie czarnookie, raczej niskie brunetki {ideałem, jak mi się zdawało, miały być Azjatki [przez jakiś czas nawet [parę lat po tamtym obozie (a na krótko przed poznaniem jej, śpiącej w namiocie obok), gdy już trochę podszlifowałem swój angielski], chodziłem z jedną taką Tajwanką, dość przypadkowo poznaną w Pirenejach], które zawsze urzekały mnie swą niespotykaną nigdzie indziej, jakąś taką dziwną majestatycznością, choć i wśród własnych ziomalek, tudzież sąsiadek lub mieszanek dalszych krajów [ale raczej tych w kierunku południowym] naszego kontynentu ten właśnie typ urody [heh, śródziemnomorski, że tak powiem] najsilniej przemawiał do mojego podwzgórza}, to jednak widząc wtedy zjawisko jej rodzaju, nie mogłem mu się oprzeć, jak teraz siedzący obok mnie Too-High-Bay {w dalszym ciągu używam wobec niego tego określenia} nie może oprzeć się widokowi dwóch pstrągów, wyskakujących na chwilę z wody, "Look!", słyszę jak mówi do swej lubej {choć wydaje mi się, jakby kierował te słowa do całej naszej reszty naszego czworokąta [oprócz nas siedzi z nami jeszcze Dorota], czyli po prostu w powietrze}, "Aren't they beautiful?", a ona: "Oh, Graham, don't be boring, I saw it so many times...", a on {z wyraźnym szkockim akcentem [dokładnie wymawiając "r"]}: "Yeah, sweetie but for our continental guests it's rather rare to see..." (...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarioPierro, dodano 24.06.2009 10:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.